



• 5 •

Wszyscy w Whitechapel byli bogaci, ale nikt nie mógł się równać z Finchem. Dawniej, kiedy Audrey jeszcze się wydawało, że może na mnie zrobić wrażenie, pokazała mi w Google'u najlepszych i najinteligentniejszych, czyli najbogatszych uczniów szkoły. Znalazła zdjęcie młodszego, bardziej sztywniackiego Fincha na jakiejś wyszukanej imprezie, wciśniętego między dziewczyny: jedną o wyglądzie srebrnego lisa oraz drugą piękną, ciemnoskórą, z naszyjnikiem, który wyglądał jak łańcuch z gwiazd ninja i na pewno bardzo spodobałby się Elli.

Finch był niemal tak niski jak ja i chudy, otoczony aurą elektryzującej energii. Włosy rosły mu we wszystkich możliwych kierunkach, miał kofeinowe, szybkie oczy w odcieniu brązu o parę tonów jaśniejszym niż jego karnacja. Ubierał się trochę jak Bob Dylan na starych

zdjęciach: robocze buty, spodnie z wysokim stanem. Nie miałam pojęcia, skąd wytrzasnął aż tak wydłużone spodnie od mundurka.

Nic z tego nie miałoby dla mnie znaczenia, gdyby nie jedna rzecz – Finch wiedział, kim jestem. Większość ludzi nie wie, a gdyby nawet wiedzieli, to mieliby to gdzieś. To, że byłam zapomnianą wnuczką pomniejszej, choć niegdyś znanej autorki niewiele znaczyło, zwłaszcza w szkole, w której za odpowiednią opłatą można się było zapisać na lekcje nauki gry na gitarze z gwiazdą popu, ojcem któregoś z uczniów. Takie już miałam szczęście, że jeden z nielicznych zagorzałych fanów Althei Proserpine chodził właśnie do Whitechapel i zdołał jakoś dokopać się do informacji na mój temat. Finch dopadł mnie przy szafce, zaraz po tym jak zaczęłam szkołę.

– Jesteś Alice Proserpine, prawda?

– Kto ci powiedział?

Finch się rozpromienił. Widziałam go wcześniej i chociaż był dość fajny, w tym momencie chciałam zrobić coś, żeby się przestał uśmiechać.

– Audrey. No, może niekoniecznie powiedziała. – Wykonał przy tym gest, który miał znaczyć, że mikry wzrost i wygląd Dylana powodują, że Audrey prędzej zrobi zakupy w JCPenny, niż pozwoli, by ktoś ją przyłapał na rozmowie z nim. Miał rację.

– Nazywam się Alice Crewe – rzekłam cicho, patrząc przez jego ramię.

Ponieważ nazwisko Proserpine było śmieszne i w dodatku wymyślone przez babkę, mama pozwoliła mi wybrać dowolne, jakie mi się spodoba. Zrobiłam to w wieku lat ośmiu, po przeczytaniu *Małej księżniczki*.

Skinął głową.

– Rozumiem. Proserpine to za dużo, powinienem się domyślić. Sam nazywam się tak naprawdę Ellery Oliver Djan-Nelson-Abrams-Finch. – Zauważył moją przerażoną minę. – Powaga. Wszyscy pytają, co się dzieje, kiedy pobierają się ludzie z podwójnymi nazwiskami. Ano właśnie to. Wszyscy mówią do mnie Finch.

Mijający nas uczniowie kiwali Finchowi głową i jednocześnie patrzyli taksująco na nową, czyli na mnie. Powinnam się do tego przyzwyczaić, ale się nie przyzwyczaiłam.

– Fajna historia, Finch – powiedziałam bardziej zjadliwie, niż zamierzałam.

Zamrugął, ale nie odszedł.

– Książka twojej babki jest naprawdę wyjątkowa – powiedział ciszej. Znałam ten ton prawdziwego wyznawcy Althei.

Poczułam się nieswojo. Poczułam też coś jeszcze, ukłucie zazdrości, któremu nie chciałam się bliżej przyrzyć.

– Nigdy jej nie widziałam – wyrzuciłam z siebie, zamykając z trzaskiem szafkę. – Wiesz o niej pewnie więcej niż ja.

Nie miałam pojęcia, czy tak rzeczywiście było. Najgorsze, że najprawdopodobniej wiedzieliśmy mniej więcej tyle samo i to z tych samych źródeł – pomijając to, że on przeczytał książkę. Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, przepchnęłam się przez tłum i ruszyłam dalej.

To powinna być nasza ostatnia rozmowa, ale Finch miał tę właściwość, że ciągle się gdzieś pojawiał.

Najpierw zobaczyłam go w parku, jak biegał w sztruktowej kurtce. Zaczęłam się zastanawiać, czy ucieka przed napastnikiem, ale zaraz dostrzegłam żenujące

białe adidas i zrozumiałam, że džinsy i ta kurtka to jego strój sportowy.

– Alice! – ryknął, mijając mnie. Głos miał szczęśliwy, a jego włosy eksplodowały spod słuchawek.

Tydzień później natknęłam się na niego w księgarni przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy. Przypominało to zły film: wyciągnęłam z półki gruby, wytarty egzemplarz Yeatsa i nagle okazało się, że mam przed sobą kawałek Fincha w tej szparze. Gryzł paznokcie kciuka, czytając Patti Smith.

Po raz trzeci zobaczyłam go przecnicę od Harolda, pod daszkiem restauracji z otwartymi długimi oknami, by wpuścić lato do środka, i mnóstwem bogaczy siedzących przy stolikach z marmurowymi blatami. Był z ojcem – jak wiedziałam z Internetu – oraz wychudzoną kobietą ze ściętymi na pazia blond włosami, która kroila nożem do mięsa *crème brûlée*. Złapał mój wzrok, zanim zdążyłam go odwrócić. Dopadł mnie w trzech susach i zaczęliśmy iść razem.

– Uratowałaś mnie – powiedział. – Zaczynałem już tam lewitować. Zaczynałem się zastanawiać, co jeśli przez resztę życia będę musiał patrzeć, jak moja macocha przez czternaście minut je jeden kęs deseru, a wszystkie moje wcześniejsze wspomnienia świata są tylko matriksem. Cześć, Alice.

– Cześć – rzuciłam podenerwowana. Wracałam właśnie z pracy, miałam okruchy na koszuli, a włosy posklejane potem.

– Pachniesz kawą – zauważył, kiedy dotarliśmy na róg ulicy. – Wspaniale. – Popatrzył z takim żalem w stronę restauracji, że zachciało mi się śmiać. – Dobra, powinienem wracać.